

Pamflet na wszystkich ludzi (7)

Edward Pasewicz

Anorektyczny miejscowy Turek Gökberk Öztapak w przerwach między całowaniem jednego dziewczęcego chłopca a grzebaniem w rozporoku drugiego z niedowierzaniem spoglądał, jak pan Filip Malewski próbuje w podnieceniu głębokim dotknąć chociażby seksownego karczku otluszczonego mężczyzny w wieku lat czterdziestu (ale wyglądającego na pięćdziesiąt).

Gökberk Öztapak, który nienawdził Tureckich Sił Zbrojnych (Türk Silahlı Kuvvetleri) i przed nimi uciekł do Polski, konkretnie do Krakowa, lubił bardzo chłopców o urodzie Filipa Malewskiego i nie mógł patrzeć na ludzi, którzy potrafią zjeść kilogramy gotowanego boczku.

Z wielką chęcią Gökberk Öztapak widziałby w swoim haremie chłopca takiego jak pan Filip Malewski. Dlatego cmoknął raz i drugi, odsunawszy obu chłopców od siebie, podą-

żył w stronę baru, gdzie rudy barman gawędził z kościotrupem w marynarce, w wąskich spodniach, trampkach, z długą blond grzywką doczepioną do czaszki, który to kościotrup był kazimierskim wyznawcą „Krytyki Politycznej” i Lacanowskiego Kościoła Reformowanego pod wezwaniem Żiżka, i stanąwszy między kościotrupem Remigiuszem (bo tak miał na imię wyznawca) a słoniomorskim mężczyzną, zagadnął do rudego barmana:

– Moja gingerboy, ty proszę dla mnie wódka, a dla ten piękny meszyzna obok ten słoń tesz wódka Tip!

– Ja bym go najpierw zapytał, czy chce – odezwał się kościotrup Remigiusz i pischelką odgarnął blond grzywkę.

– What?

– Zapytałbym go, ormiański opravco, o to, czy chce wódki – powiedział Remigiusz i dzielnie wypiął zebra do przodu.

Tak się bowiem składało, że obaj panowie nie przepadali za sobą. Z jakich powodów, tego nikt nie wie. Pan Filip Malewski nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, że ta mała falklandzka awanturka tuż obok dotyczy właśnie jego, był bowiem zajęty kontemplowaniem obrzmiałych, tłustych policzków mężczyzny, które kotysały się przy najdelikatniejszym ruchu jego głowy. „Jest zachwycający i jaki powabny w tych ogromnych portkach”. Myśli Filipa Malewskiego były zarówno wzniosłe, jak i wulgarnie pornograficzne. Rozmyślając o wtulaniu twarzy w brzuch mężczyzny, nie zauważył, że rudy barman postawił przed nim kieliszek wódki i powiedział „pij”. Nie spostrzegł także, że doszło do bójki, przepychanki i wymiany ciosów torebkami między Krytyką Polityczną a niedoszłym członkiem Türk Silahlı Kuvvetleri.

Otluszczony mężczyzna nie zwracał uwagi na dzieciarnię. Nie w smak mu była awantura o Ormian, jak i widok tureckiego haremu,

ale potrafił takie rzeczy znosić z godnością. Nie pierwszy raz zresztą kościotrup Remigiusz kruszył kopie z panem Gökberk Öztabakiem. Zarzewiem konfliktu był chłopiec, z którym całował się Gökberkiem, a który niegdyś chodził wraz z Remigiuszem na zebrania Krytyki, pojawiał się w Teatrze Nowym na każdym genderowym spotkaniu i na wszelkie możliwe sposoby wspierał działalność osób, które miały problem z równowagą płci. Jeszcze wcześniej ów chłopiec (chłopiec!) był obiektem westchnień mężczyzny, i to chyba większym niż golonki z placu Nowego czy pieczone żeberka w restauracji Pod Wawelem.

Można by rzec więcej i przywołać westchnienia Olimpii, która marzyła o tym, by mężczyzna znów chwycił za pióro i napisał kilkanaście wstrząsających wierszy o chłopcu (chłopcu!). Wiersze były rzeczywiście piękne. Opisywały architekturę Kazimierza, piękno jego bruków i okien w kontekście chłopięcych ust i łydek. Stopy chłopca porównane były do piękna synagogi Temple, a jego dłonie do mrocznej ulicy Paulińskiej. Chłopiec w twórczości otyłego mężczyzny rozrastał się na cały Kazimierz, a jego zwieńczeniem, hauptwerkem i wiedzą radosną była wieża kościoła Bożego Ciała, która została porównana do wiadomo czego.

Była też poza poezją okrutna rzeczywistość. Chłopiec mimo usilnych prób mężczyzny pozostawał głuchy na amory. Na nic było noszenie gazet, w których pojawiały się wspomniane wiersze, do knajpy Miejsce, gdzie chłopiec prześiadywał. Na nic było dyskretne ich umieszczanie na bramie jego kamienicy przy ulicy Kordeckiego (a później przy Augustiańskiej). Chłopiec nie pojmował wierszy. Zajmował się robotyką na AGH i najbardziej w życiu kochał taniec. Dlatego tak łatwo było Remigiuszowi w rytm wczesnego elektro poderwać chłopca. Niestety pojawił się Turek i zabrał chłopca,

a potem wymyślił bajki o poliamoryczności i stworzył sobie harem na ulicy Krakowskiej.

Bitwa jak zwykle zakończyła się turecką wygraną, zawsze bowiem pojawiał się w odpowiednim momencie, nieomal jak wunderwaffe, chłopiec i kończył szalony dance macabre Remigiusza.

I nie byłoby w tym zdarzeniu nic niezwykłego, gdyby nie jeden drobny fakt. Przez sargassowe morza lipidów i plam oliwy w mózgu mężczyzny przebił się elektryczny impuls i przepelzł z jednego neuronu na drugi, dzięki czemu mężczyzna zauważył podobieństwo. Niegdyś, w zamierzchłych czasach, uwielbiał to słowo. Podniecało go ono i dodawało otuchy. A teraz delikatnie nim wstrząsnęło.

Otóż kiedy pojawił się na scenie chłopiec (chłopiec!), mężczyzna ze zdumieniem zauważył, jak bardzo jest on podobny do jego halucynacji. „To dowód na to, że ten pałający się za mną chłopak to nic innego jak projekcja. Straszliwa projekcja z przeszłości!”. Ta konstatacja wstrząsnęła nim ostatecznie i postanowił nie wypijać trzynastego piwa w Coconie, tylko udać się do domu. Zwłókł się ciężko z barowego stolka i drobnymi kroczkami, kołyszac brzuchem na wszystkie strony, podreptał do wyjścia. Pan Filip Malewski za nim.

♦

„I tak oto mnie dopadł – myślał mężczyzna. – Mój udreńczony umysł wytworzył fantom, który spadł z nieba. No, spadł na spadochronie. Swoją drogą ta racjonalizacja jest zastanawiająca. No dobrze, nie zmienia to jednak faktu, że to jego kopia. No nie, nie do końca. Kopia, ale niedoskonała. A pan Staś? Najjaśniejszy pan Staś? Co on teraz robi, czym się stymuluje?”. Mężczyzna szedł i myślał. Filip Malew-

ski szedł za nim powoli, odmierzając kroki, nóżki mężczyzny bowiem były dwa razy mniejsze niż zgrabne i cudownie umięśnione nogi pana Filipa. Kiedy byli na wysokości ulicy Józefa, coś tknęło mężczyznę, by zboczyć nieco i zahaczyć o galerię Olimpia. Coś mu się majaczyło, że jest jakaś impreza, „brednisaż albo coś w tym guście”. Przeszedł na drugą stronę, na wszelki wypadek, gdyby jednak coś się odbywało. Wolał być niezauważony, chociaż „moje cielsko zajmuje pół ulicy i trudno go nie zauważyć”. Na ławeczce przed knajpą Esze zauważył coś i aż go zamurowało go. Pan Staś siedział obok jakiegoś starucha z czubem na głowie i najwyraźniej chłopięco, niemiecko, nieziemsko wdzięczył się do niego. Fala żalu zalała ciało mężczyzny. •

Szaleństwo Euro

Agata Araszkiewicz

Wszystko wskazuje na to, że popadliśmy w to szaleństwo. Duma z przyznania Polsce prawa do częściowej organizacji mistrzostw w piłce nożnej Euro 2012 przerosła wszelkie rozmiary. Sportowa motywacja stała się pretekstem do zwiększenia wysiłku modernizacyjnego, reorganizującego życie polskich miast, gdzie igrzyska mają się toczyć, pretekstem zaskakującym, z którym nie da się porównać żadnego innego wynikającego z prawdziwej społecznej refleksji logicznego zaangażowania. W ciągu 20 lat transformacji z żadnego innego powodu nie remontowano tak chętnie i tak wiele, nie reorganizowano z tak jednoznacznym przekonaniem budżetów na rozrywkę i kulturę. Nie jest tajemnicą, że sport, ten niezwykle silnie wszechwładny fenomen kulturowy, potrafi znakomicie jednoczyć emocje i przekonania, masową wyobraźnię i zbiorowy gest. Poruszając głębokie mechanizmy identyfikacyjne, jak każda zastępcza praktyka symboliczna doskonale potrafi grać na samowyobrażeniu, jakie mamy o sobie, na naszych aspiracjach, kompleksach i lękach.

Polityczny i społeczny entuzjazm związany z Euro w polskim przypadku odpowiada jednak na coś więcej niż tylko wspólnotowe wyobrażenia o mocy. Istotny jest tu intrygujący +